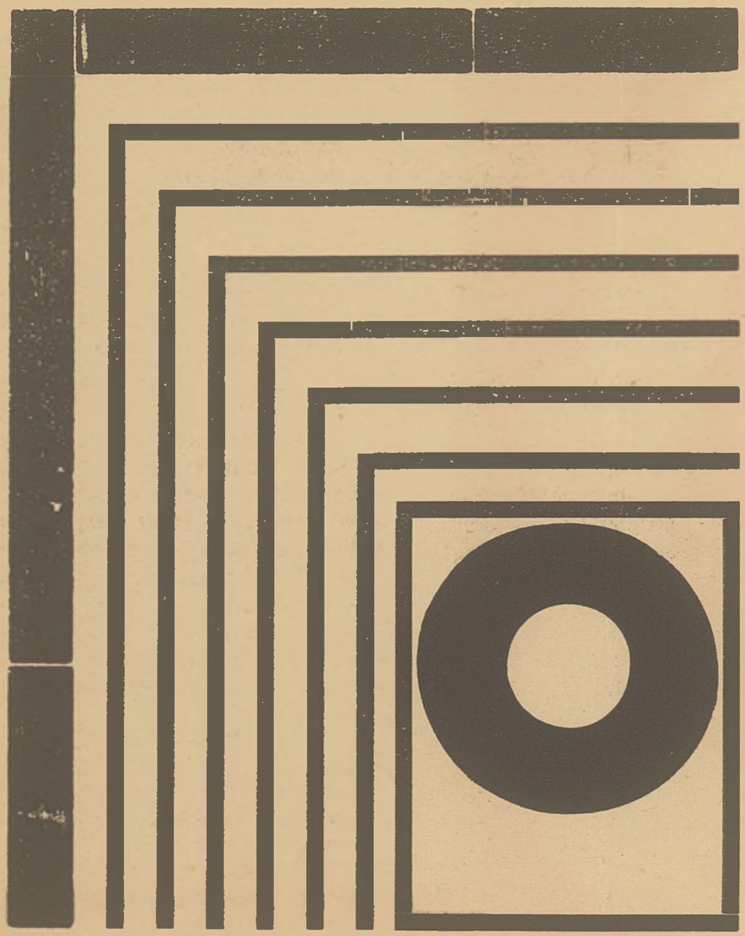
Maj 1934 Nr. 7 Cena 30 gr.

ŚWIAT SZKOLNY

Hallo!! Uwaga!! Fotografowie! Wobec wielkiego zainteresowania naszym Konkursem Fotograficznym termin nadsyłania zdjęć przedłużamy z dnia 25 kwietnia do dnia 20 maja 1934 r.



Warunki konkursu w numerze poprzednim „Świata Szkolnego“ (6). W numerze czerwcowym pokażemy wam zdjęcia nagrodzone; do pracy więc i na start, niechaj objektywy utrwalą wasze myśli.

świat szkolny

miesięcznik młodzieży szkół średnich częstochowy

rok VIII maj 1934 nr 7 (52)

Poezja mitu

MIT i LEGENDA rodzą się z historji. Łączą i wiążą ze sobą luźną sieć nagich faktów, dają im tło, podkład, barwę. Fakty znaczą bieg dziejów, niczem słupy kilometrowe. Od jednego do drugiego możemy jeno na mitycznych przelecieć skrzydłach.

Mit tworzy się przez apoteozę. Może oplatać się sam dokoła pustki, jak dokoła pustki owija się mgła wiosenna wiatrem skręcana i postacie ludzkie niekiedy w siebie biorąca. Ale, jak te mgławe, od wiatru chwiejne stwory, imaginacją wyczarowano w wodnice, smoki i ondyny, tak w mityczną włożono pustkę coś, co samo przez się gór przerasta szczyty i głową stropu chmur dotyka. Włożono weń czyny wielkie, potężne, duchy, w ofierze całopalenia niby mojżeszowe krzaki gorejące, siły herkulesowe. Jak mgławice odległe świecą one przez wieków ciąg niezliczony, trwają i długo jeszcze trwać będą; będą rozpalać ognie tajemne w piersiach poetów, będą wzorem dla ludzi wielkich, bałwochwalczym przedmiotem kultu dla nikczemnych.

Mity zawierają w sobie wszystko. Tkwi w nich idea. Idea, której nikt nigdy nie osiągnął na ziemi, która streszcza się w nieziszczalnych, niedościgłych, ale i nieprześcignionych marzeniach. Wskazują one na kierunek ich twórców, wskazują, do czego dążono, co za najlepsze miano. Stąd, — mit jest wyrazem idealnym kultury, co na świat go wydała.

Posłuchajmy choćby jednego mitu — dionizyjskiego. Skąpany w winie bóg szału. Życie na skalę największą, miarę fidjaszową. Upojenie niezmożonemi życiodajnemi sokami słońca, natury, wiosny; stan półświadomości, pierwotny człowiek, naga dusza. Mit to ducha greckiego i jego tragedji. Mit spotęgowania pierwiastka życiowego do osiągalnego maximum. Pokazuje nam, jak z apollińskiego harf eolskich pienia wytryska siłą żywiołową urokliwy dźwięk bakchicznych fletów; pokazuje boga w rydwanie ponoszonym przez tygrysy, okręconym bluszczem i powojem.

Evoe Bacche!

A teraz inny mit. Na księżycowym promieniu skłania się ku nam dusza Anhellego. Męczeństwo trzech ukrzyżowanych. Czarne krzyżów sylwety w łunie krwawej pożaru, łunie świat cały obejmującej. Chrystus, syn Boga i człowiek sam udziela nam nieskończonego skarbu miłości ze swego serca. W litanji kornej podejdźmy do Niego, stańmy się prochem, pyłem, nicością. I wołajmy de profundis: „Chryste zmiłuj się nad nami, bo dziełem Twojem miłosierdzie Twoje"!

Czyż może nam dać takie wizje historja? Nigdy. Ona nie bada ducha wieku, ducha kultury. Znaczy odcinek przestrzeni czasu w ludzkiej świadomości zawarty. Ściegiem zdarzeń łączy i zeszywa wieki; biedna niestrudzona szwaczka. Ale dopiero na ekranie mitu najlepiej, najwyraźniej fakty uwydatnić się mogą. Wtedy dopiero zrozumiemy dionizyjski szał Bacchusa i wtedy zejdzie ku nam Chrystus, abyśmy za Tomaszem niewiernym rękę w rozdarty bok Jego włożyć mogli.

Przekonamy się!

I wtedy ukaże nam się duch dziejów, ich sprężyna tak dziwna i tak niepojęta. Ukaże nam się owo Logos, rozum przedwieczny, a może zobaczymy wtedy Daimonion, pra-instynkt stworzenia?

Może?

Tylko trzeba mit pokochać.

— O — e —
G. P. H. S.

Spółdzielczość

DUŻO MÓWI się o spółdzielczości czyli kooperacji, lecz niestety, nie wszyscy wiedzą, co to jest spółdzielnia, jak powstała i jakie jest jej zadanie.

Kooperacja, spółdziałanie w szerokim znaczeniu tego wyrazu jest tak dawne, jak ludzkość. Odnajdujemy ją na wszystkich szczeblach rozwoju, u wszystkich ras, jak daleko sięgnąć możemy w przeszłość. Wiecznie żywa w duszy człowieka dążność do wzajemnej pomocy, wytwarzała w ciągu wieków różnorodne formy współżycia, a głównym powodem ich ustawicznego rozwoju i przemiany były wymagania celowości gospodarczej, właściwe temu okresowi, w jaki ludzkość wstępowała pod wpływem nowych potrzeb życiowych i uzdolnień wytwórczych. W obecnym znaczeniu, jako ruch społeczny, wyrażający się w dobrowolnych zrzeszeniach wolnych ludzi, kooperacja wystąpiła dopiero w XIX wieku, kiedy ostatecznie zerwane zostały węzły zależności, wiążące jednostkę z gromadą w okresach poprzednich, a indywidualizmowi gospodarczemu i płynącemu stąd bezładowi zaczął się przeciwstawiać demokratyzm warstw pokrzywdzonych.

Interes prywatno-gospodarczy jednostki, wynikający z indywidualnej walki o byt, uspołecznia się w kooperacji przez rozszerzenie jego na całą zbiorowość stowarzyszonych i związki, obejmujące stopniowo całe społeczeństwo.

Pierwszymi propagatorami spółdzielni byli Karol Fourier we Francji i Robert Owen w Anglji, gdzie też pod ich wpływem począł rozwijać się ten kierunek. Zarówno Fourier jak Owen widzieli rozwiązanie panującej w społeczeństwie sprzeczności interesów i wynikających stąd walk klasowych w zastosowaniu wszechstronnej kooperacji, obejmującej całe życie ludzkie. W nowym środowisku tworzonym możliwie najdalej od demoralizującego wpływu starego świata, dobrowolnie przebywający członkowie zrzeszenia wyzbędą się złych narowów, nabytych w źle urządzonym społeczeństwie.

Spółdzielnia, według dzisiejszych pojęć, to dobrowolny związek nieograniczonej liczby osób, mający na celu zaspokojenie gospodarczych i kulturalnych potrzeb członków na zasadach wzajemnej pomocy i demokratycznego równouprawnienia, zgodnie z interesem publicznym. Nie dąży ona do osiągnięcia zysków, czyli nie ma celu kapitalistycznego, lecz daje swym członkom takie korzyści, których każdy z nich oddzielnie nie byłby w stnie osiągnąć. Zasadniczo odróżniamy 3 główne rodzaje spółdzielni: 1) spożywcze, 2) wytwórcze i 3) kredytowe. Spółdzielnie spożywcze zrzeszają spożywców w celu prowadzenia własnych sklepów spożywczych. Nabywają one towary w dobrym gatunku i po niższej cenie wprost u hurtownika, a większą z nich nawet u wytwórcy, wskutek czego kupiec detalista jest omijany. Różnica między ceną detaliczną a hurtową lub fabryczną, która w handlu stanowi zysk kupca-detalisty, przypada na korzyść członków. Spółdzielnie wytwórcze różnego rodzaju, zrzeszają drobnych rzemieślników lub rolników dla wspólnego wytwarzania lub sprzedaży towarów. Spółdzielnie kredytowe są zakładane w celu dostarczenia kredytu, czyli udzielania pożyczek krótkoterminowych członkom, na dogodnych warunkach, t. j. bez specjalnych gwarancyj i przy niskiem oprocentowaniu.

W 1929 r. było w Polsce ogółem przeszło 22.000 spółdzielni, a w tem blisko 8.000 spożywczych i tyleż kredytowych. Zakładanie i działalność wszelkich spółdzielni muszą odpowiadać warunkom i przepisom polskiego prawa o spółdzielniach, które między innemi mówi, że do założenia spółdzielni konieczne jest grono składające się conajmniej z 10 osób. Spółdzielnia rozpoczyna swą działalność z chwilą zarejestrowania jej statutu, który określa główne dane: jak firmę i siedzibę spółdzielni, cel i przedmiot działalności i t. p.

Jakiż jest cel zakładania stowarzyszeń spółdzielczych? Przedewszystkiem, ekonomiczne usamodzielnienie t. zn. wystarczenie samemu sobie i obejście się bez pośredników, następnie usunięcie rywalizacji i wprowadzenie solidarności; upowszechnienie własności indywidualnej, t. j. umożliwienie nabycia tej własności przez małe udziały, suma których stwarza wielką własność zbiorową, dążenie do odebrania kapitałowi jego dominującego stanowiska w produkcji, t. zn. pozbawienie go dochodów pobieranych w formie dywidend i zysków, wreszcie znaczenie wychowawcze, przez co skłaniają do rozwinięcia energji pomagania innym, usuwając wszelkie sposoby wyzysków i przyczyny zatargów, uchylając antagonizmy między sprzedającym a kupującym, między dłużnikiem a wierzycielem i między pracodawcą a robotnikiem.

Gospodarcze życie polskie coraz natarczywiej domaga się zastosowania czystych zasad spółdzielczości. Każda epoka posiada swój obowiązek dziejowy. Takim właśnie obowiązkiem dziejowym epoki naszej jest obowiązek propagandy spółdzielczej i organizowania kooperatystycznego. Obowiązek ten spoczywa na wszystkich obywatelach i obywatelkach kraju, w pierwszej zaś linji — na młodzieży.

Stefan Marszałek
Szkoła Handlowa.

Pienina victa est

Być w Rabce i nie zwiedzić Pienin... O nie! Zacznę od początku. Rozpoczęło się to od szukania tradycyjnego szóstego. Każdy z nas w ustawicznem poszukiwaniu stawał się filozofem i wiele razy zadawał sobie pytanie, dlaczego właściwie samochody mogą zmieścić sześć, a nie pięć osób. „Pro publico mamono“ znaleźliśmy go. Siedział zawsze na końcu sali, zawsze uśmiechnięty. To nam dodało otuchy. Zaryzykowaliśmy! „Czy pan nie wybrałby się z nami w Pieniny?“ Pełne trwogi oczekiwanie. „A co to jest ta Pienina?“ Nagły wybuch śmiechu, a potem długa dysputa geograficzna: „Pienina—to góry z Dunajcem, Czorsztynem, Pustelnikiem...“ Hura! Jedziemy!

5 rano. Syrena stukonnego Buicka wyrywa nas ze snu. Jeszcze parę minut, a nasze ostateczne przygotowania są skończone. Zabrane plecaki, nowe filmy włożone do kamer. I znów po paru minutach kiwamy chustkami, zdaleka rozbudzonym pensjonarjuszom. Mają oni wszyscy bardzo rozgniewane miny, ale śmiejemy się z tego, jedziemy przecież na podbój Pienin. Przelatujemy, jak strzała, Chabrówkę przez kilka chwil ścigamy się z pociągiem, mijamy go i dostajemy się w pas górski. Nasza maszyna ciężko pracuje, daje poznać, że nie łatwo jej wdrapać się na najwyższą górę polskiej autostrady, Obidową. Mijamy, jedyny podobno u nas kościół automobilistów, wpadamy na ulicę Nowego Targu i mamy pierwszą przygodę.

Na środku głównej ulicy stanął sobie zwykły, pospolity cielak i ani rusz... nie chciał nam zejść z drogi. Trzy razy musieliśmy wychodzić z samochodu aż wreszcie udało się nam wydostać z gościnnego grodu, którego przedstawiciel tak natarczywie zapraszał byśmy zostali no i, naturalnie, skonsumowali pierwsze śniadanie.

Zdaleka ruiny zamku czorsztyńskiego. Dodajemy gazu byle prędzej, byle prędzej dostać się do najpiękniejszego zakątka Polski. Od podnóża góry pędzimy na wyścigi do zamku. Sami amatorzy. Nie tylko my w Pieninach szukamy tematu. Jest nas bardzo wielu z Szczawnicy, Krynicy i Zakopanego. Na samej górze wita nas starowina, pobierający opłaty od zwiedzających. Snuje przed nami dawne, dawne dzieje, gdy miał on (według jego słów) przyjmować tutaj Kazimierza, który przyjeżdżał do swej pięknej Esterki... Wokół nas ruiny, niegdyś tak potężnego zamku Zawiszy Czarnego, w oddali wije się srebrna wstęga Dunajca, z wieży zamkowej gra do ucha cygańska kapela, na murach pełno statywów z najlepszemi aparatami. Uciekam z zamku — tu nie ma atmosfery do robienia prawdziwych zdjęć.

Cztery wydrążone pnie razem związane stanowią „taksówkę“ via Czorsztyn — Trzy korony — Szczawnica. Płyniemy! Niejeden z nas, mieszkańców „potężnego“ grodu zachwycał się przejażdżkami po rodzimej „flumen“, błyszczącej wszelkiemi możliwemi kolorami tęczy, w 100% zapełnionej odpadkami fabryk i na skrzydłach fantazji unosił się hen daleko za morza, całą piersią wciągał „aromatyczne“ powietrze, no i rozwalał się w „łydce“ pana Małka, myśląc, że jest przynajmniej kapitanem luksusowego jachtu.

Na Dunajcu nasz umysł przestał roić marzenia. Nie staliśmy się coprawda, oficerami marynarki, ale otoczył nas świat jakiś dziwny, nie spotykany— coś z ślicznej bajki. Płyniemy! Między pniami bełkocze woda. Coraz dłuższą pozostawiamy smugę poza sobą. Dwaj nasi przewoźnicy w swych malowniczych strojach — to wymarzony stafaż dla naszego filmu.

Krajobraz z każdą nieomal minutą wyłania się inny, ładniejszy. Co parę metrów na środku Dunajca stoi cygan, lub cyganka i śpiewają, albo grają, (każdy naturalnie, dla wytworzenia nastroju coś innego) po pas w zimnej, jak lód, wodzie. (Brr!). Ci ze strony polskiej przypominają nam rewjowe teatrzyki warszawskie ci drudzy z czesskiej wydobywają z zapijaczonego gardła, jakiegoś starego czardasza przy akompanjamencie dzwoniących z zimna zębów, a gdy są pewni, że jadą Polacy, to głos ich staje się jakiś ładniejszy i z szumem Dunajca miesza się: „Polsko, Polsko żyj ty nam“! Naturalnie, cyganie z naszej strony mają podobne okrzyki dla turystów z Czechosłowacji, jednakże czynią to z mniejszym zapałem, boć przecież za 4 korony dostaną zaledwie 1 zł.

Cyganie to sprytny lud: wiedzieli, że grą i śpiewem mogą się prędko znudzić turystom, przyszykowali więc nową atrakcję. Dość duża gromada cyganiątek, trzymając drewniane bramki przystrojone girlandami tworzy jedną dużą bramę, na końcu której stoi cygan z wyciągniętym kapeluszem i chcąc nie chcąc, musimy płacić za tę przyjemność. Na bramkach kończy się pierwszy akt nabierania nas, a gdyby był uwieczniony przez jakiegoś pisarza — cygana, nosiłby on napewno tytuł: „Za przyjemność trzeba płacić“.

Akt drugi to porzucone dzieci, bezdomne matki, pięknie zbudowani mężczyźni, nie mogący nigdzie znaleźć zajęcia. Wszystko naturalnie, na środku Dunajca. Tytuł: „Litując się—przedewszystkiem płać“.

Akt trzeci, to już bardzo łatwy do zgadnięcia: po tylu wrażeniach człowiek powinien być głodny, człowiek musi jeść. Lody, woda sodowa, mleko, ciastka — też na środku Dunajca; 3 część nosiłaby tytuł: „Jesteś głodny najedz się, ale przedewszystkiem słono płać“.

Akt czwarty tej sztuki byłby ostatnim: „Bez pracy niema kołaczy“, w którym to bohaterowie

trzech poprzednich czynią ogólny obrachunek dochodów i dzielą się z kierowcami naszej „taksówki“, jako, że ci ostatni działali podczas całej akcji, zatrzymując wciąż nasz wehikuł, dając nam tem możność spełniania naszej powinności, to znaczy płacenia.

Ach, coby to było gdyby naszym instytutem propagandy turystyki kierowali cyganie!

Coraz szybciej płyniemy! Słychać szum fal! Zbliżamy się z olbrzymią szybkością do przełomu Dunajca. Nasi przewoźnicy z napięciem wszystkich sił lawirują między wystającemi skałami. Woda gniewa się, burzy, pieni, obraca naszą łodzią na wszystkie strony! Nagle cisza, woda spokojna o kolorze ciemno-zielonym, wokół nas pietrzące się nagie skały, nad nami piękne niebo bez chmur. Jakaś cudowna świątynia dumania. Jakże tu inaczej niż w Tatrach. Miast potężnych turni bezdennych przepaści, huczących potoków, siklaw — wysoki łańcuch gór, zarośnięty lasem świerkowym, gdzieniegdzie kwiecista polana, tu znów partja skał przedziwnie wyrzeźbionych, tu znów tajemnicze przejścia, krużganki, dalej ukryta grota. Otacza nas jakiś dziwny krajobraz, jakaś pozostałość romantyzmu, nie siejący grozę, jak turnie tatrzańskie, lecz w swej prostocie przedziwnie piękny.

Płyniemy! Wydostajemy się z „pasa ciszy“ i znów po przez niezliczoną ilość zakrętów pędzimy, porwani wzburzonym nurtem. Z groźnym zgrzytem ocieramy się o liczne porohy. Przed nami, za nami, wokół nas piętrzące się skały. Wydaje się, że nasz mieniący się gościniec zapada się, że lada chwila wpadniemy na góry, lecz nagły skręt na prawo lub lewo, okrzyk zachwytu, nowy obrazek z czarodziejskiego kalejdoskopu.

I znów cisza .. Płyniemy wolniutko, przecinając ciemno-zieloną taflę wody i wprawiamy w ruch, odbicie nagich skał. Przed nami Trzy Korony. Podjeżdżamy powoli do przystani, badani sokolim wzrokiem pana „władcy“, czy przypadkowo, prócz podziwu i zachwytu, nie przywozimy parę kilo tytoniu lub butelczyny czeskiej śliwowicy. Pomału otrząsamy się z wrażenia, a dopomaga nam intensywnie nasz „szósty“, który z zapałem dowodzi, że „nigdy nie mieć morska choroba“ on i my to naprawdę wielcy turyści, że my „mieć zimną krew, a przedewszystkiem „nie bać się zimna woda“.

Humor jego staje się z każdą minutą lepszy; podczas jedzenia zaś dochodzi do maximum, ale przy ruszaniu natężenie zmalało do tego stopnia, że stał się znów milczący. Ponoć wody on bardzo nie lubi, chyba tylko jedną, to znaczy „czystą“. „Taksówka“ nasza dostaje kilka towarzyszek polskich i w zwiększonem gronie ruszamy dalej.

Po stronie prawej wspaniała szosa automobilowa, pełna turystów zdążających na Szmeks, Szczyrbskie jezioro lub przez granicę do Szczawnicy. Co kilka kroków widać reklamowe ogłoszenia czeskie. Wielkie autokazy P. T. T. pędzą z ogromną szybkością, pełne śmiechu i głośnej rozmowy. W ten to sposób podziwiają piękno Pienin „prawdziwi“ turyści, wyposażeni od nóg do głów w kompletny sprzęt wycieczkowy.

Niektórzy nawet posiadają zwoje grubej liny, lecz pytanie na co. Czy by nie pogubić się na oznaczonej co kilka kroków drodze do Pustelnika? czy może, aby schwytać niby lassem wysmukłą Czeszkę z Kupeli Smerdzonka? Nie śmiejcie się, nazwa ta naprawdę nie jest piękna, ale miejscowość. Nie mam zamiaru reklamować zagranicznego uzdrowiska, ale warto je zwiedzić.

A teraz coś o wspomnianym powyżej Pustelniku. Sam go, coprawda, nie widziałem, ale jest to pono bardzo przystojny mężczyzna w wieku lat 30. Opowiada on różne ciekawe historyjki i wogóle jest bardzo zajmujący. Jest to (to znaczy pustelnik) wcale niezła atrakcja Pienin i jest ona, według krążących wersyj, dość często zmieniana, by nie nużyć jednostajnym widokiem naszych ślicznych turystek.

Przed nami niema gór! Minęliśmy Pieniny. Jeszcze ostatnie spojrzenie w tył, ostatnie pożegnanie tego przepięknego kraiku i dobijamy do przystani Szczawnicy Zdroju.

Co za dziwny widok! Wokół nas niezliczona ilość papierosów, papierków, pestek wszelkiego rodzaju, skorup od jaj, nieco dalej zaś wielka tablica z napisem: „Witamy“.

Dalej trochę większa gromadka przy zachrypniętym patefonie. I het aż po góry płynie melodja foxtrotta: „Bo dziś jest tak deszczowo, deszczowo“. A słońce świeci tak cudnie!

Pełnym gazem zajeżdża nasz pozostawiony w Czorsztynie Buick. A my czemprędzej uciekamy od tego zwierzyńca narodowego, obok Parku Narodowego. Przejeżdżamy przed dworzec autobusowy i tu czytamy, że po Szczawnicy mają prawo chodzić tylko osoby dobrze ubrane, O, Boże! A wokół nas?

Ach! i wy napewno wiecie co za przyjemność po tylu „trudach“ i niewygodach jest zjeść dobry, ale słono kosztujący obiad w Zakładzie, podziwiać wyśmienity zespół pana Rapackiego — starego znajomego z Częstochowy, tylko ze zmienioną końcówką „port“ na „cki“, no i spotkać całą bandę znajomych i wraz z nimi razem udać się do Krościenka... Do Krościenka razem na jednym biednym Buicku „tylko“ szesnastka, na chłodnicy, wachlarzach, stopniach, ale to nic! Pędzimy, by wesoło zakończyć dzień i z uśmiechem na twarzy przyjąć zemstę rano obudzonych przez nas współpensjonarjuszów. Nie będziemy się obawiać misek z zimną wodą ukrytych w naszych łóżkach, zbiorów owadów w przedmiotach codziennego użytku, bo my przecież, a nie kto inny, pokonaliśmy Pieniny!...

G. J. G. P. H. S.

„Zbrodnia i kara”

ZAPOWIEDZIANA Premjera teatru Polskiego w Warszawie przeraziła mnie.

„Zbrodnia i kara“ na deskach scenicznych, w przeróbce teatralnej, to albo jakieś super-arcydzieło albo parodja „Zbrodni i kary“. Przerobić dzieło, w którem coprawda bogata w zdarzenia i porywająca akcja jest tylko tłem, jest rzeczą niełatwą. Ta najgłębsza powieść psychologiczna o podłożu ściśle filozoficznem została oddana tak dobrze, jak tylko pozwala na to ekspresja widowiska.

Od odsłonięcia kurtyny zostajemy wprowadzeni w tę przytłaczającą i przerażającą atmosferę, jaka panuje w całej sztuce, duszną atmosferę „dostojewszczyzny“ odzwierciadlającej stan moralny Rosji w ubiegłym stuleciu.

Damięcki w roli Raskolnikowa, Zelwerowicz jako Porfiry i cały zespół wykazali, że Polacy, naród słowiański, potrafią wczuć się i zrozumieć ducha rosyjskiego i odtworzyć tak doskonałe i tak głębokie psychologicznie postacie Dostojewskiego.

Zrozumiałem jest, że autor przeróbki (podobno Tuwim) musiał odbiec od kolejności faktów w powieści i pokazał nam najpierw samą zbrodnię, pomijając cały proces myślowy Raskolnikowa, a dopiero później pokazuje nam pobudki, jakie kierowały tym biednym zdeklasowanym studentem.

Damięcki zrozumiał doskonale Raskolnikowa i oddał go takiego, jakiego widzimy w powieści. Raskolnikow Dostojewskiego to żywy strzęp ludzki, wciągnięty w beźlitosne tryby rozpędzonej przez siebie machiny, która go porwała i szarpie aż do żałosnego i ekspijacyjnego zakończenia. Biedny student w rozmyślaniach głębokich dochodzi do wniosku, że przecież nie każda zbrodnia jest karana na świecie i nie każda powinna być karana.

Wszyscy wielcy ludzie tego świata są zbrodniarzami. Napoleon był jednym z największych zbrodniarzy jakich ludzkość widziała, a przecież nie dosięgła go kara. Dlaczego więc on, biedny student, który potrzebuje pieniędzy nie na niskie i podłe cele, nie miałby zabić starej lichwiarki, która nie jest tu na świecie nikomu potrzebna' a tylko jak pijawka wysysa ludzką krwią polane pieniądze. My jednak czujemy, a Raskolnikow wreszcie dochodzi do wniosku, że jedna jest przyczyna, dla której jemu nie wolno dokonać tej zbrodni: nie jest on tak silny jak Napoleon, bo gdyby nim był, nie zastanawiałby się wogóle, czy zbrodnię wolno mu popełnić. Aktor w tej tak trudnej roli nie wpadł w przesadę ani łatwą krzykliwość, dał sylwetkę człowieka słabego aż do zbrodni, ambitnego bez podstaw, umęczonego własnem postanowieniem, balansującego między wyrzutami sumienia, a obłąkanemi napadami pychy z powodu dokonanego czynu, umęczonego ponad miarę ludzką.

Porfiry-Zelwerowicz to Porfiry Dostojewskiego. Nie stał on się sędzią śledczym w naszem pojęciu, ani żadnym nowoczesnym detektywem. W djalogach z Raskolnikowem ten tak uprzejmy i miły człowiek, przemawiający w tonie ciepłym, pod którym jednak czuje się zimną obserwację i nieomylną djagnozę, tak okropnie męczył biednego studenta, że podrywało widza z miejsca; chciałoby się pobiec i zrzucić ze sceny tego sadystę, (niestety z galerji za daleko) który już i nas zaczyna dręczyć i nam szarpać nerwy.

Marmeładowa, byłego czynownika, pijanicy nałogowego, w głębi szczerą i dobrą duszę rosyjską oddał po mistrzowsku p. Junosza-Stępkowski. Katarzynę Iwanowną, zbankrutowaną życiowo drugą żonę Marmeładowa, odtworzyła bez zarzutu p. Solska. P. Andrzejewska może zbyt blado odtworzyła piękną postać Soni, wiele mówiącą o stosunkach w ówczesnej Rosji i o prawach człowieka, wprowadzającą wraz ze swym ojcem tak typowy dla Dostojewskiego pierwiastek mistyczny.

Reżyserja i inscenizacja p. Leona Schillera były genjalne. Przeniósł on na scenę to wszystko, co można było wydobyć ze „Zbrodni i kary“.

Dekoracje dzięki scenie rotacyjnej i efektom świetlnym robiły olbrzymie wrażenie.

Ka... re
G. P. H. S.

Fragment.

Fabryczna tama, ponura szczelna,
Od wewnątrz łoskot głuchy dochodzi.
Wre tam, jak w ulu, praca piekielna:
To z trudów ludzkich dzieło się rodzi

Wtem świst syreny otwarto bramy:
To znak, że koniec pracy dzisiejszej
Już idzie w lichy surdut odziany
Robotnik. A za nim grupki większe i mniejsze.

Wyszedł już pierwszy, już idzie drugi
Trzeci . i czwarty .. żaden nie czeka
Tworzą się małe z początku strugi
Strugi sie łączą — powstaje rzeka.

M. S.

Dusza śni.

Jest w mojej duszy pieśń niewyśpiewana
Co się nocami żali i łka —
I we łzach tonie,
I w ciszy psalmy żałosne gra.

Jest w mojej duszy uczucia bez miary
Coby uściskiem objęło świat
I zaświeciło promieniem,
W pryzmatach zła.

Jest w mojej duszy modlitewny hymn,
Co z ziemi płynie na niebieski próg;
W dziecinnem, kornem kochaniu poczęty,
Jak Wielki i Potężny Bóg.

A D P. S. Z. Z.

Oferta...

JA MAM t. zw. „prosty rozum chłopski“ i dlatego lubię sytuacje jasne i wyraźne: to jest dobre, a to złe, to jest czarne, a tamto jest białe, to jest strata, to zysk.

Teorja względności Einsteina, która budzi wątpliwości, czy lepiej dać w pysk, czy dostać w pysk, nie trafia do przekonania. Z tą moją prostą filozofją byłoby mi bardzo dobrze na świecie, gdyby nie to, że kryzys spowodował, iż nic obecnie nie jest ustalone, a wszystko płynne, względne i mętne. Niewiadomo kiedy zysk jest zyskiem, a nie stratą, kiedy czarne jest czarnem, a nie białem, kiedy strata jest startą, a nie zyskiem i t. d. i t. d. (Nic dziwnego więc, że Einstein z tej mętnej wody pojęć wyłowił rybkę teorji względności).

Są jeszcze „niejasne“ sprawy, które mój „prosty, zdrowy rozum chłopski“ z łatwością ostatecznie pojmuje.

Zrozumiałem np. natychmiast, że jeśli w pewnem piśmie nagłówek pewnej notatki głosił „urbi et orbi“: „Pożar ofiar pogrzebu“, to powinno być „Pogrzeb ofiar pożaru“ i że pomyłkę popełnił zakochany, a więc roztargniony „zecer“. Zrozumiałem, że jeśli ktoś (to się zdarza nie tylko w Częstochowie) wydaje co pewien czas, na przeciąg kilkunastu dni inną zgoła gazetę, to nie chodzi mu o zyski, lecz o tytuł redaktora.

Rozumiem wiele innych spraw, ale są też takie, które są dla mnie zagadką nie do pojęcia. Oto właśnie takie dwie sprawy.

Znamy wszyscy historje „sprzedawania linij tramwajowych, pomnika Kopernika, czy pomnika ks. Poniatowskiego, przez „niebieskich ptaszków“ warszawskich, naiwni „z prowincji“..., a że w naturze nic nie ginie, zwłaszcza zaś dobre pomysły, kilku osobników w Bukareszcie zanuciło: „Z jaskółeczek bierzmy wzór“! i przebrani w mundury tramwajarzy wsiedli o bladym świcie do wozu linji „xy“ i wraz z innymi tramwajami ruszyli na miasto.

Zamierzenia tych filutów rumuńskich były jednak inne, niż warszawskich cwaniaków. W ciągu kilku lat pomysł dojrzał gruntowniej, a metoda została ulepszona. Nie pragnęli oni nikomu sprzedawać linji tramwajowej, ani tembardziej ukraść wagonu — broń Boże! — im chodziło tylko o racjonalną eksploatację. I wzorowo pełnili służbę na swoim odcinku. A jacy byli grzeczni i usłużni?! „Jacy mili ludzie, serdeczni, pogodni, „uważający“ — mówili z dumą pasażerowie — Rumuni. I tylko jedno można im było zarzucić: Gdy inne tramwaje, po całodziennym kursie zjechały do remiz, oni zjechali na ślepy tor w jakąś „głuchą“ (boczną) uliczkę i wraz z kilku tysiącami lei całodziennego zarobku wsiąkli w nieprzeniknioną czarną noc. Oczywiście nieczułe władze wszczęły za nimi poszukiwania i ścigają filutów po całej rumunji. Pocieszmy się jednak, że policja rumuńska stanęła na wysokości zadania... i dotąd winnych nie znalazła.

I szuka dalej... wiatru w polu.

Włochy do niedawna były państwem importującem zboże z zagranicy. Poprostu nie chciało się „makaroniarzom“ siać porządnie i orać; woleli przy dźwiękach gitary, śpiewać tęskne barkarolle, a zboże sprowadzać z krajów “mniej muzykalnych“. Ale wszystko ma swój koniec... Mussolini krzyknął: basta! Dość zawracania gitary! „Uczciwie wziąć się do pługa i sierpa!“...i obecnie Włochy chcą już zboże eksportować. Z tem jest jednak gorzej, gdyż wszystkie państwa przechodzą na samowystarczalność. Ale od czego Mussolini jest „il duce“? Wpadł więc na koncept, by wyznaczyć kupcom, którzy potrafią zdobyć zagraniczny rynek zbytu solidną premję.

Kupcy włoscy poskrobali się za uchem liczyli, kalkulowali i złożyli kupcom zbożowym austrjackim w Gratażu taką ofertę:

„Przyślemy wam sto tysięcy kwintali pszenicy za darmo i do każdego kwintala dopłacimy 20 lirów, a wy nam wystawicie świadectwo, że kupiliście u nas to żyto“.

Z poważaniem:

„Kupcy włoscy“

Kupcy austrjaccy też poskrobali się za uchem, liczyli kalkulowali i odpisali kupcom włoskim:

— Pocałujcie się w ucho. Co nam z tego, że wy zarobicie na premji, kiedy my otrzymawszy towar darmo i ponadto jeszcze 2 miljony lirów dopłaty, będziemy musieli sami do tej tranzakcji dołożyć, uiściwszy cło i podatek obrotowy. Ten interes nam się nie kalkuluje.

Z poważaniem:

„Kupcy austrjaccy“

A teraz ja wracam do głosu:

Więc na świecie jest obecnie: jednym opłaca się dla kilku tysięcy lei rum. „nieprawnie korzystać“ z tramwaju, drugim opłaca się dać darmo sto tysięcy kwintali zboża i dodać jeszcze 2 miljony lirów, a trzecim nie opłaca się dostać darmo stu tysięcy kwintali zboża i 2 miljonów lirów, bo mu się to absolutnie nie kalkuluje.

A niechże ich...!

I żyj tu na tym świecie ze „zdrowym chłopskim rozumem“.

Ale jest jeszcze jedno małe „ale“. Mój „zdrowy rozum chłopski“ dyktuje mi taką ofertę, do kupców włoskich skierowaną: Zrobimy interes kompromisowy, krakowskim targiem: ja przyjmuję połowę waszej oferty. Tę pszenicę zostawcie sobie na makaron — to wasze ustępstwo dla mnie, a te 2 miljony lirów dopłaty przyślijcie mnie — to moje ustępstwo dla was.

Cóż, zgoda? Czy wam się kalkuluje?

Bo mnie — tak.

Z poważaniem:

M. D. G. P. R. T.

Podwórzowy grajek

PRZEZ WĄSKIE uliczki miasteczka szedł, a raczej wlókł się jakiś przygarbiony, skurczony mężczyzna. Ubranie, które nosił, dziwnie na nim wyglądało. Króciutkie palto, szeroki kapelusz bez ronda, zbyt długie postrzępione spodnie, jakby wojskowe i ciężkie podkute buciory, wywołujące przy każdem uderzeniu dźwięczny odgłos w kamieniach— mogły być zwykłym ubiorem żebraka. Ale twarz blada, okolona blond włosami i oczy, pod długiemi rzęsami ukryte, zaprzeczały pierwotnemu wrażeniu. Bystry wzrok przechodnia odkrył jeszcze, iż człowiek ten ukrywa coś pod paltem. Coś, co nie wyglądało ani na torbę żebraczą ani na plecak podróżny. Mężczyna, o którym mowa, przystawał przy każdej bramie i zaglądał na każde podwórko. Widocznie jednak ich wygląd nie przypadał mu do gustu, gdyż po krótkim namyśle szedł dalej. Popołudniowe słońce zalewało swym blaskiem miasteczko, lecz jego zdawało nie interesować ani słońce ani wróble, które rozćwierkały się, rade z lata i życia.

Wreszcie nieznajomy przystanął przed większą kamienicą, zawahał się i... wszedł do środka. Grupka dzieci, bawiących się w piasku, przyglądała się przybyszowi. Dom był dwupiętrowy. Z otwartych okien pierwszego piętra grzmiała muzyka jazzowa. Radjo szalało. On tego nie słyszał. Zdawało mu się, iż cisza tu króluje.

Położył na murku kapelusz, rozpiął palto i ostrożnie, w obawie, by ich nie uszkodzić, wyciągnął skrzypce. Ze sposobu, w jaki je uchwycił, poznać było można, iż są one jego największym skarbem, najukochańszą pamiątką. Ujął za smyczek, wsunął jescze głębiej skrzypce pod brodę i począł grać.

Ciche, nieśmiałe tony wypłynęły z instrumentu. Przebijała w nich tęsknota za czemś dalekiem, za czemś straconem.

Kładła się melodja przy ziemi niby delikatny, srebrny całun, tuliła się do drzewek pod płotem rosnących. Wzbierała w siłę, potężniała, by się ukoić w szepcie strun, by zgasnąć w zakończeniu smyczka. Wybuchała rozpaczą za dawną radością, za dawnem szczęściem.

Wzrok grajka bujał gdzieś, hen daleko na horyzoncie.

Widział swą wioskę rodzinną, ten krzyż na wzgórku, te białe domki i własną chatkę, ukrytą w zieleni. Ujrzał matkę— staruszkę modlącą się do Stwórcy o zdrowie syna, który przez kilka miesięcy leżał trawiony gorączką...

Serce skrzypka szarpnęło się w niemocy bezsinej ku Bogu.

...Wybuchła wojna. Zarządzono pobór. Syna wywleczono z łóżka. Nie pomogły prośby matki, na klęczkach błagającej żołdaków. Oderwano młodzieńca od trupa staruszki; nie mogła tego przeboleć. Odziano w mundur. Kazano krzyczeć: „Niech żyje car“! Kazano się bić. Lecz, gdy usłyszał z przeciwnej strony okopów słowa. „Jeszcze Polska“, gdy przypomniał sobie matkę, wpajającą w niego zawsze myśl, iż jest Polakiem, rzucił precz karabin. Nie mógł strzelać. Kula armatnia zasypała go odłamkami żelaza i ogłuszyła. Słuchu już nie odzyskał. Przez siedem lat gnił w więzieniu jako dezerter. Uciekł... Teraz wraca do wioski rodzinnej, by się poskarżyć na grobie matki...

...Jakiś bezbrzeżny smutek ogarnął skrzypki. Płakały, jak małe dziecię. Nie mogły się uspokoić. Zdawało się, iż się rozpłyną we łzach, w tęsknocie. Tam już pewnie ludzie nowi, wszystko nowe...

A radjo szalało. Muzyka rozbijała się wśród wąskich murów podwórka, rozganiała ptaki, drzemiące na gzymsach, zagłuszyła żałosną pieśń nieznajomego. Musiano ją jednak usłyszeć na pierwszem piętrze. Do okna podszedł jakiś piegowaty jegomość o kartoflanym nosie, czerwony ze złości, iż ktoś śmie mu przeszkadzać przy słuchaniu filharmonji berlińskiej, gwałtownym ruchem wyciągnął z kieszeni portfel, wygrzebał w nim dwugroszówkę i rypnął ją pod nogi skrzypka, każąc mu się wynosić. Ruch ręki powiedział biedakowi o wszystkiem. Jęknęły głucho struny, jakgdyby rozumiejąc ból pana. Ten skurczył się jeszcze bardziej, wziął powoli kapelusz, schował instrument pod palto i poszedł precz... Poszedł ku wiosce rodzinnej, ku krzyżowi, rosnącemu na wzgórku, ku zapomnianej, samotnej mogile.

N. Grinbaum
G. P. H. S.

Dom na przejeździe.

Gdy szyby w nocy brzęczą, jak uparta pszczoła
Trzy światełka zielone płoną na zakręcie
Melodję nieustanną wybijają koła
A rozedrgane szyby wciąż jęczą, wciąż jęczą.
Ekspresy pędzą torem niby błyskawice
I mkną tak w niewiadome każdej smutnej nocy
W kałuży i na niebie — dwa świecą księżyce
A za przejazdem cicho wóz śmieci turkoce.
I nigdy nie ustaje szyb ciche gędźbienie,
Jęczą tak zawsze w ciemne, zamyślone noce
Aż dopokąd nie zbledną na przejeździe cienie
I smutny ranek pięścią w odrzwia załomoce.

L. Ingberówna
G. P. J. S.

Kino

WIEM napewno, że tem, co dziś napiszę, zjednam sobie wielu wrogów. Lecz to nie może być powodem, któryby mnie zmusił do pisania o czem innem. Trudno jest nakazać nam, odłamowi bądź co bądź myślącemu, patrzeć na rzeczy miernej wartości i zachwycać się niemi „li tylko„ dlatego, że są one produkowane w kraju.

Nasz rodzimy przemysł filmowy jest popierany przez rząd, społeczeństwo i prasę. Te trzy czynniki powinny skutecznie wpłynąć na podniesienie poziomu naszej produkcji. Zupełny jednak brak krytyki i samokrytyki spowodował, że na kilkanaście mocno miernych filmów zaledwie jeden jest możliwy. Ten stan rzeczy musielibyśmy stwierdzić po obejrzeniu dwuch komedji: „Parada rezerwistów“ i „Pieśniarz Warszawy“. Uważam, że każda bez wyjątku komedja (krajowa czy też obca) powinna być przedewszystkiem dowcipna. ja osobiście śmiać się lubię, słuch mam bardzo dobry, okulary dosyć silne, lecz, mimo najszczerszych wysiłków ze strony mojej i pomocy towarzyszek żadnych znaków szczególnych humoru nie zauważyłem. Uważam, że „panu piekarzowi“ Waszyńskiemu tym razem mocno nie udało się pieczywo i jeśli mam powiedzieć szczerze, to treść i scenarjusz są głupie, a dowcipy „rznięte“ na wojskową hurtową miarę“.

Komizm polega na sympatycznem „rechotaniu“ ka rala Waltera, na „faktycznych“ wysiłkach Sielańskiego i Dymszy. Ten ostatni ze swej niewdzięcznej roli, potrafił jednak pewną dozę humoru wykrzesać i to tylko dzięki własnemu talentowi. Reżyser Waszyński jest z pewnością bardzo mało wymagającym człowiekiem jeśli uważa, że film jego może stać się lekarstwem na wszelkie dolegliwości. Być może wytwórnia mogłaby to uzyskać, dołączając do filmu pewną dość znaczną dozę gazu rozweselającego (szczyt techniki: film wzrokowo-słuchowo-węchowy?...)

Po obejrzeniu „Jego ekscelencji subjekta“ myślałem, że wytwórnia „Uranja“ nie spocznie na zasłużonych coprawda laurach, lecz będzie się starała podnieść swą produkcję. Strzałka barometru tej wytwórni, która tak wyraźnie ruszała się ku rozpogodzeniu, w „Pieśniarzu Warszawy“, znowu posunęła się, ale niestety, w tył.

Nasz dawny rozśpiewany i sympatyczny subjekt magazynu Hersego tym razem nie jest sobą... Razi nas ustawiczne kopjowanie mimiki i ruchów Chevaliera i powtarzanie starych jak świat dowcipów Flipa i Flapa. Sam pomysł, choć wyraźnie zaczerpnięty z komedji francuskich byłby zupełnie dobry, gdyby nie jedno małe gdyby... „Pieśniarz Warszawy“ tak jak dawno temu „Pieśniarz Paryża“, powinien dać nam prostą nieskomplikowaną, a melodyjną piosenkę ulicy, którą by śpiewała cała Warszawa od jasnych brzegów Wisły, aż do ostatniego piętra „drapacza chmur“. Melodje, coprawda są, ale jak strasznie są sztuczne i niemelodyjne o tem chyba najlepiej może powiedzieć projektodawca „kącika muzycznego“, kolega Kazet. W filmie dobry jest Walter, również Znicz. Powołanie tego ostatniego ze scen łódzkich jest naprawdę dobrym pomysłem. Z niepokojem czekam na nową komedję pana Waszyńskiego „Kocha... lubi... szanuje...“ Może przy pomocy kapitału zagranicznego otrzymamy wreszcie film zupełnie dobry. Zdaje się jednak, że nie brak funduszów jest głównym powodem „utykania“ naszej rodzimej X Muzy, lecz nieodpowiedni scenarjusz i reżyser.

Tyle słów smutnych o filmie krajowym. Rozjaśnia prawdopodobnie Wasze stroskane oblicza umieszczony w tym numerze kupon zniżkowy do kina „Stylowego“. „Kącik filmowy“ życzy więc dobrej zabawy na następnym programie „Stylowego“(Przypominamy: o „programie dozwolonym dla młodzieży .— przecież niedługo już koniec roku szkolnego...)

J. Gajsler
G. P H. S.

Deszcz pada.

Deszcz pada w górach już trzeci dzień
Doliny spowiła mgła,
Wszędzie się włóczy chmur smętny cień .
A góral na skrzypcach wciąż gra.
Deszcz pada w górach już trzeci dzień,
I cicho jest na hali.
Wszędzie się włóczy chmur smętny cień
W szałasie watra się pali.
Deszcz pada w górach już trzeci dzień,
Wiatr gra na deszczu strunach,
Wszędzie się włóczy chmur smętny cień .
Smutno jest teraz w górach

L. Ingberówna
G. P. J S.

Wiosna.

Dobrze jest tak
Leżeć na wznak
I patrzeć w młodziutkie niebo
Dobrze jest w zębach źdźbło trawy żuć
Dobrze jest patrzeć i dobrze czuć
Że wszystko jest dla siebie,
Że słońce, trawa, mak i motyl
Że woda, piasek, sad i płoty
Już, kiedy nas nie będzie
Żyć będą same dla siebie.

L. Ingberówna
G. P. J. S.

Teatr

TEATR NASZ, jakby porywając się z motyką na słońce wystawia „Świerszcza za kominem“ Dickensa. Nie jest to jednak, jak nam premjera wykazała, porywanie się z motyką na słońce, p. Iwo Gall docenia zarówno swoje siły, jak i siły artystów.

Dickens w „Świerszczu za kominem“ stworzył potężną symfonję miłości, symfonję, którą odczuwamy i przeżywamy, jak symfonje Bethovena. Postacie są doskonałe i skończone psychologicznie, a świerszcz, ukrywający się za kominem jest symblem ogniska i szczęścia domowego. Choć nie jest on podciągnięty do roli bóstwa, ma większe znaczenie niż antyczne Lary i Penaty. Nie jest bezdusznym symbolem, on przemawia do ludzi. Rozmowa świerszcza z czajnikiem, to najczystsza poezja, to uczta duchowa dla tych, którzy umieją zrozumieć ich mowę.

W całym utworze, dość ubogim w akcję, widać walkę dobra ze złem o panowanie nad duszami ludzkiemi, a autor obdarza wawrzynem zwycięstwa pierwiatek dobra. Uosobieniem zła jest Teklton, zimny i oschły fabrykant zabawek. Nikomu nie wierzy, wszystkich podejrzewa, nie wierzy zarowno w swoje szczęście po ślubie z piękną Ney, jak w szczęście małżonkow Piribingl. Jego marzeniem jest złapać Mery Piribingl na gorącym uczynku i udowodnić, że jej czułość i jej stosunek do męża jest fałszywy. Los usmiecha się do niego, lecz na bardzo krótko. Spotyka piękną Mery sam na sam zdemaskowanym starcem, pokazuje ich Janowi, a sam tryumfuje, widząc, że szczęście małżonków prysnęło.

W tym tak tragicznym momencie decydującą rolę odgrywa świerszcz. On to przekonuje złamanego na duchu Jana, że Mery, osoba tak szlachetna, tak upajająca się szczęściem domowem, tak rozumiejąca i zachwycająca się jego głosem, głosem świerszcza z za komina, nie zdolna jest do niczego, co jest nieszlachetne, przekonuje, że żona jego nie potrafiłaby go zdradzić. Jan powtarza to Tehltonowi, a słowa te, niezrozumiałe dla tego zimnego głazu, który miażdżył stopą znalezione świerszcze, potęgują miłość Mery, która przypadkowo to słyszy.

Niezrozumiałą jest zmiana Tekltona w końcowej scenie. Widzi on, że pierwiastek dobra zwycięża, załamuje się psychicznie, lecz czyż potrafi się tak szybko przeobrazić w zupełnie innego człowieka? Do treści utworu to jego przyjście i przekonanie do nieszczęśliwej kaleki jest konieczne, ale psychologicznie jest to słaby moment.

Nie wolno pominąć milczeniem starego Kaleba Plemmera i jego ślepej córki Berty. W związku z temi postaciami nasuwa nam się zagadnienie, czy Kalebowi Plemmerowi, którego jedynem zadaniem w życiu było spełnianie roli oczu swej córki, wolno było skłamać, miast prawdziwego życia, stworzyć jej niemoralną wizję i narazić ją na tak okropne rozczarowanie.

Nie wiem, czy wszyscy się ze mną zgodzą, ale ja rozumiem tego starego ojca, którego okiem w głowie jest ułomna córka. Nie żyje on już swojem życiem, żyje jej życiem, jej szczęście jest jego szczęściem, a nieszczęście, nieszczęściem. Kocha ją wprost nadludzko, całe swoje jestestwo jej poświęca. Nic więc dziwnego, że chce, aby ona była szczęśliwa, aby nie widziała ohydy życia, aby jej życie było piękne i takie, o jakiem marzy.

Wielkie wrażenie robi scena, w której niewidoma Berta, rozpoznawszy w chodzie nieznajomego starca kroki, jakby znane i wiele jej mówiące, przybiega sama do drzwi. Bardzo dobrą jest również scena końcowa, której ton nadała p. Stefanja Gintelówna w roli Mery Piribingl.

Gra artystów bardzo dobra i na wysokim poziomie, jedynie może p. Brem zbyt szablonowy, a p. Malinowski nie oddał należycie bólu wewnętrznego starego Plemmera, towarzyszącego bólowi jego córki, gdy ona dowiaduje się prawdy o życiu.

Inscenizacja, dekoracje i reżyserja z uwzględnieniem najnowszego prądu gry bez kurtyny — ponad wszelką krytykę.

Ka... d
G. P. H. S

Kącik dla najmłodszych

Pod żaglem

SZARY ŚWIT zastał mnie na nogach. Wpatrzony w morze ostatkiem sił trwałem na stanowisku. Nie wyspany, wyczerpany wczorajszem szykowaniem kajaka do dalszej drogi i naostatek 4 godzinną wartą nocną wyczerpany byłem zupełnie. Teraz stojąc na brzegu morza patrzę na migocący różnokolorowemi światełkami sygnałowemi port Gdyński. Jeszcze pół godziny i przeraźliwy gwizdek stawia wszystkich na nogach. Modlitwa... kąpiel .. ćwiczenia i śniadanie a przy nim żarty. Nie zważając na głód po zdaniu raportu z warty nocnej idę do swego namiotu i zasypiam. Śpię do 11, wstaję, jem śniadanie, gdy wtem zjawia się dowódca flotyli w towarzystwie jakiegoś kapitana. Po chwili dowiaduję się, że odbędziemy „małą" przejażdżkę po morzu. Krzątanina, pakowanie i... wymarsz do portu. W godzinę byliśmy rozdzieleni na jachty i gotowi do drogi. Po krótkich objaśnieniach co do ruchu bomów, użytku lin i bloków—wyjazd. Na maszty jachtów wypłynęły prawie równocześnie proporczyki „Harcerstwa Wodnego", oraz pojedyńcze znaki międzynarodowego alfabetu „Cod'u. Zwinęliśmy się szybko i wkrótce żagiel rozpostarł majestatycznie swe skrzydła wydął się i ruszyliśmy zwolna, kierując się na północny zachód.

Siedząc na prawej burcie rozmawialiśmy na temat kończącej się włóczęgi wakacyjnej. Dobrze po południu wróciliśmy do portu, każdy uśmiechnięty i w dobrym humorze. W dwa dni później wszyscy rozjeżdżali się do domów, tylko nasza czwórka szykowała się do dalszej drogi. Mówiąc prawdę, wszystko nam było jedno jak i gdzie będziemy jeździć.

Niespodzianek i emocji pełno jest na świecie, trzeba tylko wyjść na ich spotkanie i umieć walczyć.

Przygoda jest panią wszystkich możliwości. Przygoda ujawnia właściwości charakteru, kształci go, wzmacnia, hartuje. I cóż może być piękniejszego nad przygodę? Zły los pokonany w walce na śmierć i życie, oto największy tryumf! oto szczyt marzeń! Wyzwać ten los na wodzie, walczyć z nim i zwyciężyć.

Tad. Duszynski
11 D. Ż.

Moja przygoda

DO WSZYSTKIEGO można się przywiązać. Ja naprzykład, lubię łąki i bagna. Niejednemu wydałoby się to śmieszne i głupie, ale przecież i moczary mają swój urok, tylko odmienny od innych krajobrazów. Gdy nadejdzie lato, a jest ciemna bezksiężycowa noc, wtedy z nad trzęsawisk unoszą się mgły jak upiorne jakieś postacie, które jak złe duchy zakłócają spokój nocy. Zupełnie inaczej wyglądają w dzień. Kwitną na nich żółte lilje, które stanowią główny cel moich wycieczek, dzwonki liljowe i niezabudki...

Otóż raz w lecie wybrałam się z Marysią K. na owe „pociągające" lilje.

Jak zaczęłyśmy skakać z kępy na kępę, to w krótkim czasie zauważyłyśmy, że nogi stały się „pieprzykowate", dzięki wodzie brunatno-ryżej.

Ktoby tam zważał na takie głupstwa, więc poszłyśmy dalej.

Gdy już miałyśmy duże bukiety lilji, potknęłam się o coś i bęc jak długa.

Musiałam paradnie wyglądać, bo Marysia śmiała się do łez.

Niedługo się namyślając, poszłam do pobliskiej rzeki, żeby wyprać sukienkę.

Już się rozbierałam, gdy niedaleko bagna zjawił się jakiś człowiek, przypatrujący się nam ze zdziwieniem.

Boże! co robić, co robić! Ale ów jegomość był bardzo domyślny i wyniósł się prędko.

Odetchnęłam z ulgą... Zdjęłam szybko suknię, wyprałam w rzece i suszyłam ją, machając jak chorągwią. Reszta bielizny wyschła dość szybko, no i pomału, żeby więcej nie złapać zająca, poszłyśmy do domu.

A. Z.
G. J. S.

Piszcie do kącika dla najmłodszych.

zręby nowe

dział zespołów częstochowskich „straży przedniej”
kół pracy dla państwa
oraz drużyn harcerskich gimnazjalnych

Działalność „S. P.”

WYSPIAŃSKI w „Wyzwoleniu“ głosi przez usta Konrada: „Naród ma tylko prawo być jako Państwo“.

Nie możemy sobie dzisiaj wyobrazić Narodu, jego potęgi, jego roli dziejowej w dzisiejszej strukturze świata bez Państwa.

Państwo tworzy ramy, w których możliwy jest jedyny rozwój Narodu. Pojęcie Państwa kojarzy się zupełnie z pojęciem Obywatela, którego dobro jest uzależnione od dobra Państwa.

Państwo jest organem. Za pomocą tego organu Naród kształtuje i spełnia swą rolę dziejową, która łączy go z innemi narodami.

Gdy zrozumiemy ten związek między Narodem a Państwem, przestaniemy dyskutować, że Naród jest ważniejszy, niż Państwo. Dobro i potęga Państwa musi być głównym sprawdzianem i wskaźnikiem naszego działania obywatelskiego.

Na stanowisku takiego pojmowania obowiązku obywatelskiego i konieczności wyrobienia w tym kierunku stoi „Straż Przednia“. Ona to, zmierza do reformy podstaw organizacyjnych życia zbiorowego.

Życie dzisiejsze nie pyta się o teorję, zmierza do nowych form. Przystosowanie się do życia musi być wskaźnikiem w tworzeniu związków społecznych. Należy zatem najniższą ich komórkę organizacyjną przebudować, aby na niej oprzeć się mogła zbiorowa praca społeczna, obywatelska.

Reforma organizacji polega przedewszystkiem na reformie stosunku członka do pracy, którą ma wykazać w danej organizacji. Nie wystarczy wyznawać wszelkie hasła, idee, cele, jakie sobie zakreśli organizacja, nie wystarczy w szumnych słowach, frazesach, wzbudzać zapał, entuzjazm. Wymagać należy spokojnego, szarego, mrówczego praktykowania, realizowania zakreślonego programu.

Jak często w naszem życiu szkolnem, organizacyjnem spotykamy kolegów najbardziej zapalonych, niestety w wyznawaniu programu, gdy chodzi o wykonanie jakiejś pracy, o spełnienie obowiązku, choćby już takiego: przybycie na zebranie, to wtedy szukaj ich ze świecą.

Precz z frazeologją, przestańmy być frazesowiczami. Trzeba nam czynu — społecznego! — czynu narodowego, o który tak chodzi Mickiewiczowi w „Odzie do młodości“.

„Straż Przednia“ zrywa z jednostronnem, czysto zewnętrznem formalnem traktowaniem wolności człowieka, który w dzisiejszych formach życia organizacyjnego jest popychadłem, jest mechanicznem narzędziem zbałamuconej większości. Chodzi o wcielenie pełnego, odpowiedzialnego człowieka w pracę zespołową, chodzi o zewnętrzne, treściwo-uczuciowe ustosunkowanie się członka do pracy w organizacji, której mechaniczną budowę trzeba zastąpić budową moralną.

„Straż Przednia“ ma zastąpić nam dzisiaj tajne organizacje młodzieży doby niewoli. Jawnie i otwarcie mamy wykonywać naszą pracę dla ojczyzny, jawnie wypowiadać mamy nasze poglądy.

„Straż Przednia“ musi walczyć z wszelkiemi tajnemi dzisiaj jeszcze organizacjami, produkującemi typy zbuntowane, nasiąknięte bezpłodną lub destrukcyjną negacją.

Kto ma wolną, a nieprzymuszoną wolę i chęć zrozumienia należytego istoty zadań „Straży Przedniej“ nie będzie czynił jej zarzutów bezpodstawnych, że ona wprowadza ferment w życiu szkolnem. A może słuszność ma ten „gdy zarzuca“ jej ferment, mając na myśli: ferment zdrowy!

„Straż Przednia“ zaczyna marsz do potężnej Polski Jagiellonów.

A. N.
G. P. R. T.

Adam Skwarczyński

ULICAMI POGODNEJ słońcem Warszawy przeciąga kondukt pogrzebowy. Ciężko—miarowo bije w gładki asfalt krok kompanji honorowej. — Dzień 4 kwietnia wiosenny, świąteczny, piękny dzień, a jednak smutek ciężki, ponury osiadł na schylonych głowach.

— Adam Skwarczyński — szepczą zbielałe wargi —Adam Skwarczyński umarł—szumi wieść lotem błyskawicy. Rozniesiona na szpaltach gazet, dociera do najgłębszych zakątków kraju, gasząc uśmiechy na ustach młodzieży.

Adam Skwarczyński, kto zacz? —spyta rzuciwszy okiem na litery krzyczące tłustym drukiem z przed chwilą kupionej gazety, dzisiejszy typ człowieka z głową naładowaną kolumnami cyfr, weksli, paragrafów. — Adam Skwarczyński —, wyleci z pod serca młodzieńczego odpowiedź, to duch, który sam dla wielkich spraw płonął i innych doń zapalić umiał. Zniknęła cielesna powłoka Adama Skwarczyńskiego. Sterany chorobą długą, ciężką, która jednak do ostatniej chwili nie zdołała przygasić ducha, ciało legło w trumnie, rozstało się z nami. Duch wielki, potężny żyje, zakorzenił się głęboko w sercach młodego pokolenia, a praca, wielka praca twórcza wydała plony.

— Żeby zrozumieć tego człowieka, by go należycie ocenić, spójrzmy na to, co jest żywą, otwartą księgą wielkich ludzi, — spójrzmy na jego życie.

* * *

Ś. p. Adam Skwarczyński syn lwowskiej ziemi ujrzał światło dzienne w roku 1886. Jako uczeń gimnazjum lwowskiego poświęca się pracy niepodległościowej w kołach młodzieży. Po ukończeniu wydziału filozoficznego uniwersytetu Jana Kazimierza współpracuje w piśmie młodzieży filareckiej „Promień“ i w organizacji P. P. S. „Przedświt“, pod pseudonimem „Adama Płomieńczyka“.

— Myśl, jedna wielka myśl niepodległościowa łączy ówczesnych ludzi, każe im wspólnie pracować, schylić się pod berło tego, który ma w sobie największą siłę ducha — niezwyciężoną moc i wiarę w odrodzenie; zeszły się drogi Adama Skwarczyńskiego i Józefa Piłsudskiego. Ten ostatni znajduje nowego dzielnego współpracownika, który iść z nim będzie po przez związek walki czynnej, związek strzelecki, aż hen tam na szare kieleckie drogi, odmierzone krokami I-ej Brygady.

Po wyprawie kieleckiej poświęca się Skwarczyński pracy politycznej na terenach okupowanych, pracy cieżkiej, pełnej przeszkód ze strony władzy austryjackiej. Na krótki czas bierze ponownie oręż do ręki, by pożegnawszy się z nim ostatecznie rozpocząć walkę słowem i duchem.

Ogniskiem tej nowej pracy jest Warszawa. Redaktor i założyciel nielegalnego dwutygodnika „Rząd i wojsko“ (1916, redaktor politycznej „Nowej Gazety“; więzień twierdzy modlińskiej (VII 1917 — 1918). — To są dalsze etapy jego życia.

Odzyskawszy wolność obejmuje z powrotem redakcję „Nowej Gazety“ — (obecnie już znanej pod nazwą „Gazety Polskiej“).

W roku 1920 bierze udział w organizowaniu wydziału propagandy w M. S. W., a po wojnie bolszewickiej jest naczelnym redaktorem miesięcznika „Droga“.

Od roku 1926 staje się kierownikiem referatu Społeczno-prasowego na Zamku i z tą chwilą nawiązuje kontakt z młodzieżą.

Godność prezesa komitetu Młodzieży Wiejskiej, prezesa Organizacji Młodzieży Szkolnej „Straż Przednia“ — oto są wyniki tego kontaktu.

Jako uczestniczka „Straży Przedniej“—podkreślam, że oparł On tę Organizację Młodzieży Szkolnej na podstawie moralnej, na odpowiedzialności i pracy.

Odtąd jest przywódcą i wychowawcą młodego pokolenia Polski.

Człowiekiem niewidocznym, a jednak kierującym życiem, człowiekiem który wielkim płomieniem i hartem swej światłej duszy ogarnie pracę dla Tej, którą do życia obudzić pomógł.

Z. Pogorzelska
G. J. S.

„Prawdziwa reforma moralna zespołu możliwa jest w każdym razie tylko w małych zespołach, elementach wielkiej organizacji społecznej. Liberalizm zmarnował zdobycz W. Rewolucji: wyzwolenie człowieka; nie wciągnął go w ustrój społeczny, wciągnął tylko jego surogat: abstrakcyjną jednostkę. To też zadaniem kryzysu dzisiejszego jest wcielić pełnego, odpowiedzialnego człowieka w pracę zespołową“.

Adam Skwarczyński
„Podstawy Pracy w Zespole“.

Na poziomie (dyskusja)

OBYWATELKA „Straży Przedniej“ powinna zawsze postępować zgodnie z zasadami organizacji, czyli powinna się zawsze znajdować na określonym poziomie“ — z naciskiem powiedziała nam Obywatelka instruktorka na jednej z odpraw.

W duszy postanowiłyśmy sobie stosować się do tego żądania, wymagającego od nas rzeczywiście bardzo dużo.

Znajdować się „na poziomie“ — to znaczy nigdy nie skłamać, a czemże jest naprzykład ranne ściąganie? Jak jednak można nie dać ściągnąć koleżance, która z groźbą nazwania „egoistką i niekoleżeńską“ wyciąga przemocą zeszyt z zadaniem. Nie skłamać — to znaczy także nigdy nie podpowiadać tracącej ze strachu przytomność koleżance, bo jest to prostem oszukiwaniem profesora, nie pocieszyć także tej koleżanki, że może dostanie trójkę, gdy jest się przekonaną, że powinna mieć dwójkę. To jest największa ofiara w naszem codziennem życiu, lecz nie ostatnia.

Znajdować się „na poziomie“ — to znaczy nigdy nie iść na żaden niedozwolony film, choćby się wiedziało, że nikt z belfrów do kina nie przyjdzie, nigdy nie wykroczyć nawet myślą przeciw regulaminowi szkolnemu pod grozą wyrzutów sumienia za niewypełnienie zobowiązań względem Straży. Znajdowanie się „na poziomie“ zabrania wzięcia udziału we wszystkich „zgrywach“ klasowych i jeszcze wymaga, aby w wypadkach takich promieniować.

Trudna to nadwyraz rzecz do wykonania i osiągnąć ją nie da się tak prędko, więc teraz jeszcze mówią nam wszyscy, że nie dorosłyśmy do poziomu.

J. Wojciechowska
G. J. S.

* *

Znajdować się na „poziomie“ — trzeba dobrze zrozumieć te słowa, a często i wyczuć.

Spójrzmy na to z naszego punktu widzenia, a więc z punktu widzenia młodzieży szkolnej. Można nie przekroczyć nigdy regulaminu, a jednocześnie nie być „na poziomie“. Dlaczego? Weźmy zwykłe codzienne odrobianie lekcyj, ileż to razy odrabiamy je tak, byleby tylko jak się to mówi „odwalić“ i coś niecoś wiedzieć. Czy jesteśmy wtedy „na poziomie“?— Nie. Trzeba może czasem przezwyciężyć samego siebie, pokonać chwilowy „brak natchnienia“ do nauki i wziąć się do pracy sumiennie, a to przyniesie nam ogromną korzyść, nietylko nauczymy się dobrze zadanej lekcji i dostaniemy lepszy stopień, ale będziemy jednocześnie wyrabiać silną wolę.

Być „na poziomie“ — to znaczy podnosić i ożywiać działalność we wszystkich organizacjach, kółkach samokształceniowych. To jest nasza praca na zewnątrz, ale trzeba pomyśleć także o swojem własnem „ja“, czy ono jest także „na poziomie“? Może niejasno się wyraziłam, ale chodzi mi tutaj o zagłębianie się w siebie — w swą duszę, poznanie swego charakteru, walkę z wadami i wydobycie tego co jest w nas najlepsze, najczystsze. Jest to bezwzględnie najtrudniejsza praca i może nam przynieść nawet chwilowe zniechęcenie i załamanie, nie trzeba jednak rezygnować, a słowa „na poziomie“ mogą nieraz dodać sił i otuchy.

Z. Pogorzelska
G. J. S.

W MŁODZIEŻY drzemie wiele sił. Zużywa je też w rozmaitych kierunkach, Jedni w zdobywaniu wiedzy (tych jest bardzo niewielu), drudzy w rozmaitych „godziwych i niegodziwych rozrywkach“ (tych więcej), a najliczniejsi w tem, że mogą w szkole i po za nią „wypowiadać swoje zdanie, mieć swoje zasady“ i głosić przyjście nowego porządku na świecie.

Młodzież współczesna jest wychowana w latach po jednej z najstraszliwszych wojen, widzi, że nie wszystko jest tak jak być powinno i dlatego chce zmiany

Jest w nas głód życia. Życia — pełnią człowieczego istnienia, znającego, cele swego przyjścia w świecie i umiejącego zdać sobie z niego sprawę.

Jest w nas głód pracy.

Bo my pracować nie umiemy, często nie chcemy, bo brak nam wiary w cel i możliwość jej wykonania.

W dzisiejszych szkolach praca nie jest pracą. Uluda pracy wyrażająca się przez noszenie pewnej ilości książek i wydawanie, przed patrzącym w okno profesorem mniej lub więcej nauczonej lekcji jest niepowetowaną stratą czasu.

Ażeby pogłębić jeszcze złudzenie stworzono szereg organizacyj, które mają imitować przygotowanie do udziału w życiu społeczeństwa.

Ale do tej chwli nie umiał profesor zapomnieć, że jest tylko maszyną do sprawdzania wiadomości w uczniowskich głowach, nie umiał zniżyć się do poziomu i podzielić się z nami swojem życiowem doświadczeniem.

Między uczniem, a profesorem istnieje przysłowiony chiński mur.

A młodzież powinna mieć przewodników, którzyby nie płonęli świętem oburzeniem na myśl o tem, że uczniak myśli inaczej i, że chodzenia do szkoły nie nazywa pracą.

Dziś potrzeba nam ludzi czynu.

Muszą się zwiększyć szeregi szarych i czarnych pracowników o lepsze jutro.

Musi powstać kult pracy jak istnieje kult dla tych co krew przelewali za ojczyznę.

Nauczy nas tego szkoła, bo my żądamy tego od niej dltego, że chcemy być ludźmi.

E. Tomińska

Ciepło „zimnych” gwiazd

KAŻDY napewno obserwował niebo w piękną noc letnią i wzrok kierował hen ku aksamitnemu sklepieniu, na którem błyszczą i mrugają setki gwiazd czasami zaś z zawrotną szybkością przemknie mały srebrny punkcik nazwany potocznie „gwiazdą spadającą“. Należy wtedy podobno coś pomyśleć i złapać się za guzik... a napewno się sprawdzi. — Zadajemy sobie mimowoli pytanie skąd się biorą w przestrzeni odłamki materji? Może są to resztki jakiegoś ciała niebieskiego rozrzuconego we wszechświecie? Być może, lecz również mogą to być resztki tej materji, z której utworzyła się nasza ziemia. Powstaje teraz kwestja czy ta przestrzeń wypełniona przez miljony gwiazd meteorów i komet posiada gdzie swoją granicę— czy istnieje jakaś „ostatnia gwiazda“? Zagadnienie o nieskończoności wszechświata od wieków niepokoi umysły ludzkie.

Wszyscy prawie uczeni i astronomowie starali się je rozwiązać pozostaje ono jednak zagadnieniem nie wychodzącem poza ramy hipotez.

Człowiek w starożytności, posiadając bardzo słabe i prymitywne instrumenty, a opierając się jedynie na sile swego wzroku mógł osiągnąć minimalną część nieba i dlatego zamknął wszechświat w osiągalnych dla siebie granicach — zdecydował o jego skończoności.

Zdawało się, że pojęcie wszechświata nie ulegnie zmianie i nie może podlegać żadnej wątpliwości. Przychodzi wiek XIX a z nim zastęp wielkich fizyków i matematyków. Pojawia się Newtonowskie prawo o rozchodzeniu się światła i grawitacji. Teorja o nieskończoności zaczyna się chwiać.

Gdyby cała przestrzeń wszechświata wypełniona była niezliczoną ilością gwiazd i słońc, to niezliczona suma promieniowań powodowałaby, iż niebo jaśniałoby z siłą słońca. Prawo powszechnego ciążenia spowodowałoby, iż nasz układ słoneczny nie zdołałby się oprzeć, planety odrywane od słońca pędziłyby z zawrotną szybkością w przestworza. Tak więc zakreślono znowu granicę dla wszechświata.

Według ostatnich teoryj astronomicznych wszystkie widziane przez nas gwiazdy tworzą wspólny system „drogi mlecznej“ długość jej oceniają na 60.000 lat świetlnych. (Rok świetlny jest to przestrzeń jaką przebywa światło w ciągu jednego roku pędząc z szybkością 300 tys. km/sek). Grubość jej wynosi 80.000 lat składa się zaś z 30-stu miljardów słońc. Granicą coprawda rozległą, ale zawsze granicą — skończoność.

Astronom franc. Moreux pisze: „Możemy teraz zapytać się czy poza temi miljonami gwiazd istnieją jeszcze inne światy inne wszechświaty, czy po przejściu przestrzeni niepojętych wzrok nasz nie napotkałby nowych skupień „Dróg Mlecznych“ takie pytanie nie ma w sobie nic absurdalnego, lecz jest to zaledwie fantazja naukowa. —

W amerykańskiem obserwatorjum odkryto gwiazdę, której odległość od ziemi wynosi 300.000 lat świetlnych, badania wykazały, że dąży ona w przestrzeni z zawrotną szybkością jako oddzielne słońce.

Jak daleko odległe są gwiazdy od ziemi najlepiej ilustruje przykład: Aby dotrzeć do najbliższej gwiazdy trzeba przebyć przestrzeń 275.000 razy większą niż odległość ziemi od słońca. Kula armatnia, która wystrzelona dobiegłaby do słońca w ciągu 10 lat! na „najbliższej“ gwieździe znalazłaby się po upływie 2 milj. lat. Weźmy jeszcze większą szybkość światła 300 tys. km/sek. W ciągu 8 minut dojdzie ono od słońca do nas, z ostatniej planety układu słonecznego Neptuna dochodzi w ciągu 4 godzin, na drogę do „najbliższej“ gwiazdy promień światła zużyje 4 lata i 4 mies.

Ilość ciepła wysłanego przez słońce na ziemię zdolna byłaby stopić warstwę lodu grubości 100 stóp i okalającą całą kulę ziemską.

Kula węgla kamiennego wielkości słońca paląca się najsilniejszym ogniem ledwieby wystarczyła na 46 wieków, gdyby miała zastępować słońce.

Bardzo ciekawe rezultaty dały badania uczonych amerykańskich nad promieniami cieplnemi wysyłanemi przez gwiady. Używali oni do tego celu ogniwa termoelektrycznego, w którem jak wiadomo pod wpływem ciepła powstaje prąd. Dla uzyskania energji elektrycznej służyć miało ciepło gwiazd. Ogniwo umieszczono w ogromnej lunecie astronomicznej. Niezwykle czułe przyrządy wykazały odchyleniejednego milimetra, co równa się 1 miljardowej Ampera. Dla łatwiejszego zrozumienia przytoczę, że świeca umieszczona w odległości 1 metra daje 250·000·000 razy więcej ciepła niż gwiazda odległa o astronomiczną liczbę wieków.

Uczony Pettit określił w ten sposób temperaturę gwiazdy Algol = 13.000° C. Narazie ma to jednak tylko zastosowanie teoretyczne. W każdym razie zniknąć już musi z repertuaru poetów frazes o „zimnej gwieździe“, gdyż nieubłagalne cyfry dowodzą, że zawieszone hen w niezmierzonych obszarach eteru kosmicznego ciała niebieskie, posiadają wielokrotnie większą temperaturę niż nasza ziemia.

Wiele jeszcze lat upłynie nim soczewki ogromnych lunet i teleskopów, lub pociski międzyplanetarne przyniosą nam rozwiązanie choćby kilku zagadek „srebrnych globów“.

Jerzy Uchnast
G. P. T.

Kronika

Z Wieczornicy „Pana Tadeusza“.

Dnia 21 kwietnia t. j. w sobotę, odbyła się Wieczornica, poświęcona wyłącznie uczczeniu setnej rocznicy powstania „Pana Tadeusza“.

O godz. 19,50 rozpoczął program śpiew chóralny, następnie prof. J. Sołdrowski przedstawił ważność tej Wieczornicy, wspominając o Genjuszu, który będąc na obczyźnie, przez swą poezję potrafił zawładnąć całem sercem Polski i naprowadzić Ją na lepszą drogę życia, drogę Niepodległości i miłości obywatelskiej.

Przewodnią myśl wieczoru rozpoczął ucz. Gim. R. Traugutta, recytując koncert Wojskiego. Deklamacja może jednak nie wypadła tak, jak powinna, a to dlatego, że deklamator mało się wczuł w tak piękny i prawie, że tworzący całość, jakim jest Koncert Wojskiego. Dalej koledzy tegoż gimnazjum odtworzyli Muzykę wieczorną, Smierć ks. Robaka i Burzę. Ta ostatnia wypadła znakomicie z tego powodu, że słowa deklamatora razem z dźwiękami orkiestry dały coś groźnego, strasznego, przejmującego grozą, naprawdę była to burza we wszystkich swych fazach, począwszy od gromadzenia się, przechodząc przez grzmoty, błyskawice, pioruny, a kończąc na ulewie. Po śpiewie chóralnym pod kierownictwem p. prof. J. Cichonia, rozpoczęła się druga część programu. Kolega z Gimn. H. Sienkiewicza odczytał referat. Był on dobrze opracowany, ale częściowo zadługi.

Znużoną jednak publiczność długim referatem rozweseliła scena „Kłótni Telimeny z Tadeuszem“. Tak! Kol. Kamińska, to prawdziwa Telimena. Czuła się na scenie, jak w domu W swej płaczącej i bolesnej mowie, odegrała boleść kobiety zawiedzionej w miłości. Na uwagę zasługuje także kol. Milczarkówna w roli Zosi. Widać było w tej osobie nadzwyczajną prostotę. Tadeusz dobry. „Rada“ wypadła naogół dobrze. Jedną wadą było może to, że dobrana była młodzież w bardzo młodym wieku, co można było rozpoznać po głosie. Na szczególną uwagę zasługują kompozycje muzyczne prof. K. Wopaleńskiego, który przez swe piękne utwory nadał stuprocentową wartość Wieczornicy Tadeuszowskiej.

Kol...k

Koncert.

Miłą niespodzianką była impreza zorganizowana przez Gimnazjum Państw. im. J. Słowackiego i szkołę p. Folfasiskiej w dniu 10.III. b. r.

Na program złożyło się kilka obrazów wyreżyserowanych przez p. Miziukową.

Do najbardziej udanych należy zaliczyć „Światła i cienie“, oraz inscenizację piosenek legjonowych z kol. kol. Rodowiczówną i Kellerówną na czele.

Całość dzięki pięknym kostjumom i efektom świetlnym wypadła wspaniale.

Teraz słowo o publiczności... tej z końca. Zgadzam się w zupełności z tem, że Hela (?) ładnie tańczyła, ponieważ wszystkie ładnie tańczyły; sądzę jednak, że to jeszcze nie powód, by głośno wyrażać swe zadowolenie rytmicznemi okrzykami w rodzaju: „Brawo He-la“. Kichanie na tempa (!) przedewszytkiem słabo udane (z pewnością przez jakiegoś żółtodzióbka), powtóre nie na miejscu.

Dwa te „kwiatki“, a było ich wiele więcej, świadczą o naszej „sztubackiej brawurze“, której czas wreszcie się pozbyć.

f.

Redakcja mówi...

Zebranie „Świata Szkolnego“ odbędzie się dnia 14 maja (poniedziałek) w Gimn. Państw. H. Sienkiewicza o godzinie 5 pop. Zawiadamiamy wszystkich podadministratorów o konieczności uregulowania należności, w związku z tem komunikujemy o pracach do numeru czerwcowego, które muszą być na zebranie to przyniesione.



Kurator: Dr. H. Płodowska. Redaktor: K. Duszyński

DRUK. BR. SWIĘCKIEGO W CZĘSTOCHOWIE, III ALEJA № 63.

BR. ŚWIĘCKI
CZĘSTOCHOWA.